Nr. 23. We Lwowie dnia 10. czerwca 1895 Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

OGNIWA.

Przez

Elizę Orzeszkową.

(Ciąg dalszy.)

Mówił z żywością ogromną, z zapałem i razem ze śmiechem filuternym, lecz nagle umilkł i uważnie wpatrzył się w gościa, który przecież na niego uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, z ustami trochę otwartemi, przypatrywał się zegarowi i zawołał:

— Daj no stołek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, lecz nie mogę dojrzeć, jaki...

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stołek, podsunięty mu przez żyda, a uczynił to tak sprężyście, jak gdyby nigdy dotąd nie powłóczył nogami.

— Dawaj lampę! — zawołał.

— Zaraz, zaraz, jasny panie!

I słowa te mówiąc, stary żyd z lampą w ręku znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

— Genewa! — zawołał stary pan — tak, tak! fabryka szwajcarska, nie wiesz jaka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? czy ja mogę czego nie wiedzieć?

Z tryumfem wymienił nazwę fabryki, już oddawna nieistniejącej.

— To była taka fabryka, jakiej już na świecie niema!

— To prawda, ach, jaka to prawda, że takiej fabryki już na świecie niema! A jak on się nakręca?

Stary żyd, jakby z rękawa klucz wytrząsł, już go trzymał w palcach. W rzeczy samej wyjął go ze skrytki, znajdującej się w szafce.

— Ot, jak on się nakręca! widzi jasny pan! A jak to dobrze, że ja go dziś jeszcze nie nakręcał, to mogę jasnemu panu pokazać. *Aj, fajn!* taki stary klucz, a jak po oliwie chodzi!

— Tak! Aha! A ja myślałem, że on się nakręca z tamtej strony, bo takie zegarki...

— Jasny pan ma omyłkę... takie zegarki nie nakręcają się nigdy z tamtej strony... to są wcale inne, które się nakręcają z tamtej strony... A teraz ja pokażę jasnemu panu te gzymsiki... Widzi jasny pan, jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie i złocenie *fajn*..

— *Empire!* — szepnął stary pan.

— *Ampir!* cha, cha, cha! Na moje sumienie jasny pan zna się na zegarkach, jak, za pozwoleniem zegarmistrz! Czyste *Ampir!* Już blizko sto lat ma...

— Poczekaj, poczekaj! a toż co za sprężyna?

— Nu, to jest taka sprężyna, że jak ja ją pocisnę, to zaraz z zegara wyleci ptak, skrzydłami załopoce i krzyczyć zacznie.

— Aha, prawda! widziałem raz taką maszynerję...

— Kiedy jasny pan raz widział, to ja jaśnie panu jeszcze raz ją pokażę...

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszym i niższym od gościa. Światło lampy, którą żyd trzymał w wysoko podniesionej ręce, padało na dwie twarze z rysami niepodobnemi, ale okryte jednostajnie wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach, wlepionych w zegar z błogością jednostajną. Wtem nad ich głowami siwemi i twarzami pomarszczonemi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę przyciśniętą, wyleciał ptak metalowy, załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo na całą izbę wołać zaczął: ku-ku, ku-ku. Żyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to samo uczynić, poczem, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzał.

— Za pozwoleniem jasnego pana — szepnął nieśmiało — może ja mam omyłkę, ale mnie zdaje się, że moje stare oczy jaśnie pana poznały.

— Poczekaj, poczekaj, — z żywością odrzekł stary pan — mnie także coś się przypomina. Czy ja cię znałem kiedy?

— Jasny pan graf Ksawery ze Strumienicy...

— No, a ty? bo nie mogę przypomnieć sobie...

— Ja Berek, syn Szymszela, tego, co w Strumienicy pacht trzymał.

— Berek! czy to być może? Ależ pamiętam wybornie! Siostra moja brała cię za model do jakiegoś obrazka.

Żyd głową skinął potakująco; lampę postawił na stole, bo ręce drżeć mu zaczęły. Wyciągał z kąta stare krzesło z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną, zapraszając gościa, aby usiadł. Cmokał wargami, śmiał się, czerwone powieki mrugały pod siwemi brwiami bardzo prędko, jak od olśnienia. Usiadł nakoniec, wpatrywał się w gościa i wydawał dźwięki niewyraźne, w których przecież słychać było radość i zdziwienie. Ale i stary pan przypatrywał mu się z podziwem.

— Czy być może? Ty Berek!.. ty... ten Berek z kręcącemi się włosami złotemi, z twarzą rumianą, jak u dziewczyny, z oczyma jak turkusy? Siostra moja wzięła cię za model do jakiejś figury w obrazie, potem często przychodziłeś do pałacu... Więc to ty jesteś?

— Ja.. ja sam, jasny panie! A jasny pan jest tym paniczem, co na schody strumienieckiego pałacu nigdy inaczej nie wchodził, jak po cztery przeskakując. Kiedy mnie jasna panna hrabianka malowała, a jasny graf Ksawery do tego pokoju, w którym my byli, wchodził, to jakby słońce wchodziło.. Aj, czy ja nie pamiętam, jak jasny graf Ksawery konno jeździł i jak z panienkami tańczył!... Żeby nie wiem wielu paniczów na koniach jechało, to on wszystkich wyprzedził, i żeby nie wiem wiele panienek było, to wszystkie tylko z nim chciały tańczyć Ja to wszystko widział, choć przy płocie, albo za oknem pałacu stojąc...

— Ależ właśnie, właśnie — podchwycił hrabia - ja cię też najlepiej pamiętam stojącego przy sztachetach, na dziedzińcu lub w ogrodzie i przypatrującego się wszystkiemu oczyma, które posiadały dziwnie naiwny wyraz ciekawości i uciechy... Nieraz mówiliśmy z siostrą o tobie, że wyglądasz, jakbyś cieszył się całym światem i nigdy dosyć nacieszyć się nie mógł...

Żyd śmiał się z cicha:

— A jasny pan czy nie cieszył się wtedy całym światem?

Hrabia zamyślił się i westchnął.

— Naturalnie odpowiedział — młodość!.. Razem byliśmy młodzi, mój Berku!

Nie spuszczając oczu z jasnego pana, żyd znowu zapytał zcicha:

— A teraz?

— Teraz! cóż? Jesteśmy razem starzy...

Żyd oparł dłonie na kolanach, wzrok wlepił w ziemię, zgarbił się, zmalał.

— Cy! cy! — cmokał — czemu my nie mieli zestarzeć razem, kiedy my razem młodzi byli? Każdy człowiek na świecie, czy żyd czy chrześcijanin, czy wielki czy maleńki, ma młodość i ma starość... i dla każdego młodość to radość, a starość to taki smutek, co jego już aż do grobu nie można z siebie zdjąć. Każdy to ma...

Umilkł. Hrabia milczał także i tylko zegary na ścianach gwarzyły szmerem suchym, niespokojnym: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak, tak-to-tak.

Jeden z nich głębokim basem zaczął uderzać godzinę: raz, dwa, trzy! Lecz zaledwie trzy razy uderzył, odezwał się drugi i bardzo cienko wydzwonił: raz, dwa! Przy szóstem uderzeniu dzwoniły już trzy głosy, a przy siódmem było ich ze sześć. Siedm, osiem, dziewięć, wydzwoniły chórem, który potem stopił się we trzy i we dwa głosy, kończąc oznajmiać godzinę dziewiątą. Hrabia z uśmiechem oglądał się dokoła.

— Koncert! — szepnął, a potem z zamyśleniem dodał:

— Mój Berku, ile to już godzin czas wybił dla ciebie i dla mnie!

— Nu — odpowiedział żyd — dlaczego on nie miał ich wybijać? My byli daleko od siebie, i nie widzieli się nigdy i zapomnieli o sobie, a czas na zegarkach bił godziny i co którą wybił, to dla jasnego pana i dla mnie, bo on dla wszystkich godziny bije...

Chwilę milczał, potem podnosząc wzrok na gościa, nieśmiało zaczął:

— Czy jasny graf wie, że ja rodziców jasnego pana pamiętam, jakbym ich wczoraj widział. Pan graf ojciec był małego wzrostu, ale taki sobie dumny na twarzy, a pani grafini miała takie ręce, co ja zawsze myślał, że to są białe kwiaty... te, co w ogrodzie rosły i ogrodnik mówił, że to są *lile*... może ja źle pamiętam... lile... lile... takie białe, piękne kwiaty, co bardzo pachną... Pani grafini miała ręce podobne do tych *lilów*. Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam: czy jasny tato i jasna mama jeszcze żyją?

Tym razem w uśmiechu hrabiego była gorycz, gdy odpowiedział:

— Gdzież tam, mój Berku! Czyż podobna, abym ja miał jeszcze rodziców przy życiu? Te białe lilje, o których mówisz, oddawna już w ziemi,

Głos mu drgnął, ale hamując wzruszenie, życzliwie zapytał:

— A twoi rodzice? Ojca prawie nie pamiętam, ale matkę przypominam sobie bardzo dobrze. Szczupła, nieduża kobiecina, spracowana, z twarzą zwiędłą, ale z pięknemi jeszcze oczyma, czarnemi i ognistemi jak płomienie...

Żyd milczał chwilę, poczem zwracając ku podłodze palec suchy i ciemny, rzekł zcicha:

— Te płomienie, co ich jasny pan pamięta, dawno już w ziemi!

Zegary szemrały: tak-tak, tak-to-tak, tak-to-tak; dwaj ludzie milczeli z duszami, zatopionemi w szmerze czasu.

Żyd pierwszy obudził się z zamyślenia i przemówił:

— A czemu ja winien tę wielką łaskę Pana Boga, że do mnie takiego starego znajomego przyprowadził?

Hrabia wyjął z kieszeni staroświecki zegarek i położył go na stole. Żyd z przyjemnością wziął go w palce i oglądając z uśmiechem, zapytał:

— A jaka na niego skarga? Czem on zgrzeszył? On późni się? Jasny pan probował jego naprawiać, i nic nie pomogło! Cy, cy! ja już widzę, że z nim niedobrze, on bardzo chory. Jego trzeba rozebrać i leczyć...

Hrabiemu oczy błysnęły z za okularów. Zaniepokoił się i ucieszył.

— Czy możesz to zrobić zaraz?

— Czemu nie? Ja będę bardzo kontent, jeżeli jasny pan trochę u mnie posiedzi i sam będzie widział, że ja temu choremu nic złego nie zrobię. Tylko ja sobie większą lampę zapalę, bo do takiej roboty, przy takiej małej lampie, moje oczy za słabe...

Hrabia, w coraz lepszym humorze, zawołał:

— Dobrze ci, że możesz sobie większą lampę zapalić, a ja nie mam ze sobą tych okularów, których używam do naprawiania zegarków.

— Aj, aj! co to za bieda? U mnie jest kilka par różnych okularów; niech jasny pan dobierze sobie, która będzie najlepsza. Czy jasnego pana oczy taksamo proszą, żeby je ze służby uwolnić?

— Oj tak, mój Berku, bardzo nawet proszą... i djabelnie mi to dokucza. Bez okularów ani rusz, a i przez okulary czasem trudno...

Żyd wyjmuje z szuflady kilka par okularów i mówi:

— To *rychtyg* jak u mnie. Nasze oczy razem postarzały.

C. d. n.

Z DZIEJÓW OŚWIATY LUDOWEJ

w Anglji.

(Ciąg dalszy).

Po wykładzie następuje przerwa, w ciągu której pewna ilość słuchaczów opuszcza salę, zostają zaś tylko »studenci« (studjujący). Następuje wykład specjalny, szczegółowszy, podczas którego profesor wyjaśnia słuchaczom kwestje zawilsze i niezrozumiałe, zabierając przytem bliższą znajomość ze słuchaczami bardziej utalentowanymi i gorliwymi. W końcu tego specjalnego wykładu profesor podaje temata do krótkich wypracowań, które studenci przygotowują na wykład następny. Te wypracowania również uważane są jako jeden z istotnych rysów systemu. Zazwyczaj studenci odsyłają je profesorowi pocztą, a on zwraca te prace wraz ze swemi uwagami podczas wykładu następnego. W centrach, połączonych z uniwersytetem oxfordzkim, wraz z profesorem przybywa znana już »wędrowna bibljoteka«, składająca się z 20 lub 30 dzieł.

Po ukończeniu kursu profesor układa listę studentów, którzy uczęszczali co najmniej na $^{2}/_{3}$ lub $^{3}/_{4}$ wykładów ogólnych i specjalnych i napisali takąż samą ilość wypracowań. Mają oni prawo przystąpienia do egzaminu, który się odbywa w 4 tygodnie lub miesiąc po ukończeniu kursu, przed władzami uniwersyteckiemi. Celujący słuchacz otrzymuje na uroczystym wykładzie z początkiem nowego kursu nagrodę z rąk np. członka parlamentu danego okręgu lub innego miejscowego dygnitarza.

Przejdźmy do treści wykładów. Oto niektóre tematy do wypracowań egzaminacyjnych i pytania ustne, które dadzą nam pojęcie o planie i zakresie nauki.

Historja powszechna. 1) Wykazać główne przyczyny szybkiego rozszerzenia się islamu we wschodniej Azji i północnej Afryce. 2) Jakie były główne skutki wojen krzyżowych w Europie i na wschodzie. 3) Wykazać znaczenie Hiszpanji jako potęgi kolonjalniej. 4) Wykazać znaczenie języka i rasy w procesie tworzenia się narodu.

Historja i zasady architektury. 1) Wytłumaczyć i objaśnić przykładami znaczenie »prawdy« w architekturze. 2) Narysować plan Partenonu i wykazać, czem zaspakajał on religijne i artystyczne potrzeby Ateńczyków. 3) Wykazać główne różnice w liturgji kościołów wschodniego i zachodniego i ich wpływ na formę i styl w budownictwie.

Geologja. 1) Co nam wiadomo o temperaturze i gęstości wnętrza kuli ziemskiej. Wskazać pokrótce, jaką drogą doszliśmy do dzisiejszego stanu wiedzy w tej materji. 2) Wyliczyć główne punkta różnicy między człowiekiem paleolitycznym i neolitycznym. Jak wytłumaczyć te różnice? 3) Wymień znamienne cechy osadów w morzu zdala od lądu, w bliskości brzegu, w jeziorach z wodą kryniczną i w ujściach rzek.

Chemja. 1) Narysuj płomień świecy i opisz jego części. Co się staje ze świecą po spaleniu? 2) Objaśnić użycie lampy Davy'ego. Co to jest olej parafinowy? Dlaczego niektóre oleje są łatwo zapalne albo eksplodują? 3) Jak się otrzymuje z kamienia wapiennego wapno? Wymień niektóre różnice między jednym a drugiem.

Jakaż publiczność uczęszcza na te kursa? Da się ona podzielić z gruba na dwie wielkie grupy: klasy pracujące, wolne od zajęć chlebodajnych tylko wieczorem, i osoby (przeważnie kobiety) rozporządzające wolnym czasem i w dzień. *University extension* odrazu przystosowane zostało do tych dwojakiego rodzaju wymagań, czyniąc w ten sposób zadość potrzebom różnych

klas ludności. Na kursa popołudniowe zapisują się przeważnie kobiety, stanowiąc około 70 prct. słuchaczy. *University ext‹nsion* odegrało bowiem, jak to już raz zaznaczyliśmy, wielką rolę w sprawie wyższego wykształcenia kobiet w Anglji. Kursa popołudniowe stanowią jednak mniejszość, większość wykładów odbywa się wieczorami wobec słuchaczy przeważnie robotników, rzemieślników i drobnych kupców.

W niektórych obszerniejszych »centrach«, zwłaszcza na północy Anglji, gdzie organizacyjną stronę tego ruchu ujęły w ręce stowarzyszenia spółdzielcze, spotyka się kursa, na które uczęszcza audytorjum z 400—500 słuchaczy, wyłącznie robotników. Załujemy bardzo, iż brak miejsca nie pozwala nam przytoczyć choćby kilku listów tych robotników-studentów, z takim zapałem i zarazem powagą garnących się do wiedzy i studjów. Ciekawego czytelnika odesłać musimy do dziełka jednego z pionierów tego ruchu, R. D. Roberts'a p. t. *Eighteen years of University extension* (18 lat istnienia *University extension*), wydanego w Cambridge w r. 1891. Roberts, między innymi, daje przykłady żarliwości, z jaką robotnicy w dostępnych dla nich sferach propagują ten system oświaty. Przodują zaś w tym wypadku górnicy Northumberland'u, przebiegający nieraz przestrzeń 6—10 mil angielskich, aby słuchać wykładów!

Nie można tu pominąć milczeniem jeszcze jednej klasy, dostarczającej licznej kategorji słuchaczy. Mówimy o nauczycielach ludowych, którzy odrazu w szerokich rozmiarach zaczęli korzystać z kursów. Społeczeństwo angielskie, dobrze rozumiejąc doniosłą rolę nauczycielstwa ludowego, stara się możliwie ułatwić mu dostęp na kursa, zniżając opłatę dla nauczycieli. Stanowią oni w niektórych miejscowościach czwartą część audytorjum.

Zaznaczyliśmy wyżej że nowy system oświaty przystosował się do potrzeb i wymagań różnych klas ludności. Dodamy tu, iż audytorjum jednorodne daje się spotkać nader rzadko. Jest to właśnie jedna ze stron jasnych tego nowego systemu i jeden z ważnych a dobroczynnych jego skutków, iż łączy on na jednej ławie studentów z sfer różnych i często dość odległych w skali towarzyskiej. W sprawozdaniu egzaminatorów uniwersytetu oxfordzkiego za r. 1889—1890 czytamy, co następuje: »Na ostatnim egzaminie w jednym z centrów, wśród osób, które otrzymały świadectwa z odznaczeniem, znajdujemy: nauczycielkę ludową, młodego prawnika, robotnika fabrycznego i zwrotniczego kolejowego«. Jeszcze przykład, przytoczony u wyżwzmiankowanego Roberts'a. W Tyneside po skończonym kursie ekonomji politycznej najlepiej złożył egzamin jeden z robotników górniczych, drugą zaś z rzędu była córka bogatego przemysłowca, członka parlamentu z danego okręgu.

System *University extension* był zrazu niejako reakcją i protestem przeciw systemowi pojedyńczych odczytów, na szeroką skalę uprawianemu w Anglji przez rozmaite towarzystwa oświaty ludowej. Kierownicy i twórcy tego nowego ruchu przedsięwzięli, jak to widzieliśmy, dać zamiast jednego cały szereg wykładów, czyli »kurs« z jednego przedmiotu. Obecnie zrobiono dalszy krok naprzód i gdzie tylko stosunki materjalne pozwalają, układa się kolejno po sobie idące kursa w pewnym porządku tak, aby tworzyły one jeden ciąg, dotyczyły jednej gałęzi wiedzy i łączyły się w organiczną całość. Rzecz naturalna, że daje się to z trudnością przeprowadzić, gdyż niełatwo w pojedyńczym centrze znaleźć słuchaczy, zdecydowanych poświęcić dwa lub trzy lata z rzędu na studjowanie jednego przedmiotu.

Owa kolejność kursów ma istotne i praktyczne znaczenie dla tych centrów, które chciałyby skorzystać z uchwalone o w r. 1886 i zatwierdzonego przez królowę nowego statutu uniwersytetu w Cambridge, dającego ostatniemu prawo t. zw. »affiljacji« (t. j. adoptowania) centrów. Najważniejszy przywilej, który otrzymują słuchacze takiego centru, polega na zwolnieniu ich przy wstąpieniu do uniwersytetu od jednego roku studjów. Muszą jednak za to wysłuchać w ciągu trzech lat sześciu kursów kolejnych w grupie nauk dowolnie obranych. Wprawdzie siedm centrów już w r. 1891 skorzystało z tego prawa affiljacji, trzeba jednak wespół z najlepszymi przedstawicielami *University extension* zaznaczyć, iż ma ono dla całego tego systemu, aczkolwiek bardzo ważne, ale w każdym razie pośrednie tylko znaczenie. Dok. n.

V. NOVAK.

MIŁOŚĆ BAZYLEGO.

Z chorwackiego przełożył

Leon Wasilewski.

(Dokończenie).

Nie, w piekle nie jest chyba gorzej, niż mnie wówczas było!... Cierpiałem okropnie. Zdawało mi się, żem się już zamachnął siekierą i że widzę martwego Marka w śniegu. Zgroza mię objęła... Wówczas przypomniałem sobie Lucę, a serce poczęło mi się zmiękczać, a w uszach szumiało wciąż: »Bazyli zabił Marka!...« I strach, i ból straszny, i wstyd miotały moją duszą. Nie, Bazyli, nie śmiesz!... I już podniosłem się z zamiarem powrócenia do domu... Do domu?! Do

piekła raczej! Znowu, Bazyli, do piekła, a z niego zobaczysz niebo otwarte, stworzone dla ciebie... Ty płaczesz, a on ją obejmuje, ty trujesz się gorzką trucizną: Nigdy nie będzie twoją! — a on ją pieści, mówiąc: mojaś ty, Luco, moja! Szalejesz — a on? Śmieje się: zwarjował Bazyli!... A baby i dzieci wrzeszczą za tobą: »Szalony Bazyli!...« Powiedziała, że wzdychała do mnie — według prawa bożego jest ona moją, nie jego!

Usiadłem znowu. Przedemną czernieje z pod śniegu krzak. Patrz, Bazyli, to ty. Dręczy cię boleść, jak mróz ten krzak; przycisnęła cię niedola, jak śnieg zlodowaciały. Ale krzak puści liście i zakwitnie — a ty? Zabije cię smutek i rozpacz. Gdyby ogrzały cię usta Lucy i tybyś żył — och, Boże, jakbyś żył! Luca jest słońcem twojem i niczyjem — niczyjem więcej! Umrzyj, Marko — ty, lub ja! Więc umrzyjmy obaj, tak żyć nie można!

Świtało. Pobiegłem na odgłos pierwszego uderzenia siekiery i zobaczyłem Marka. Przeląkłem się, napadł mię strach jakiś, nogi poczęły mi drżeć, trząsłem się... Rozdwoiła mi się dusza: »Zaniechaj zamiaru!« — mówi coś, i znowu: »Musisz... umrzyjmy obaj! Marko odemnie, ja od prawa!«. A Luca? Będzie żyła, znajdzie sobie męża. Niech sobie! już mię wówczas nie będzie...

— Dzień dobry, Marko!

— A! Bazyli... dzień dobry.

— Wstałeś dzisiaj tak wcześnie.

— Tak. Ale lepiejbym uczynił, gdybym nie wstawał.

— Dlaczego?

— Przeziąbłem, ścisnęło mię w piersiach. Rozmachałem się siekierą, aby się rozegrzać, ale nic to nie pomaga. Kiedym już aż tu przyszedł, to narąbię, niech wiozą, gdy chcą.

Machnął siekierą, rąbnął, ale wypuścił ją natychmiast z rąk, bo go napadł kaszel. Oparł głowę o pień buku i kaszlał. Patrzę, a ręka mi drży, niby coś mówi: »Uderz po potylicy!...« Zamierzam się i już chcę go uderzyć — a tu około Marka śnieg krwią się zabarwił. Ręce mi opadły, skoczę ku niemu.

— Marko, bracie, niedobrze ci?

— Źle, źle! znowu krew... Cóż mam robić? umrę już chyba...

Mówił takim głosem, że mi serce ziębło, a patrzał... Boże — nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Zdawało mi się, że błaga: »Zmiłuj się, pomóż!...

— Masz — rzekłem mu, ściągając z siebie kożuch. — Jestem zdrów, dzięki Bogu. Narzucę to na ciebie i odniosę cię do domu.

Tak też uczyniłem.

Przyniosłem go do Lucy, bo jego dom był aż na drugim końcu sioła.

Gdy go złożono na łóżku, a ja odchodziłem do domu, zatrzymała mię Luca. Oczy jej były zapłakane.

— Bazyli! Dziękuję ci!... Dopóki żyć będę, nie zapomnę ci tego...

Ledwie mówiła. Ścisnęła mię mocno za rękę, oparła głowę na mem ramieniu i płakała, a łzy jej spływały po moim rękawie. Poszedłem do domu. W piersiach poczułem jakiś ciężar, ale było mi tak miło, przyjemnie, jak nigdy jeszcze, odkąd poznałem Lucę.

III.

W miesiąc potem chodził znów Marko po wsi. Był słabszy, niż podczas pierwszej choroby. Odzież wisiała na nim, jak na kiju, a pod oczyma wystawały mu kości. Uspokoiłem się już nieco. Już nie tak cierpiałem, jak przedtem. Codziennie wspominałem, jak Luca płakała, wsparłszy się na mem ramieniu i wzdychałem za każdym razem. Zdawało mi się jednak, że Luca będzie moją. Jej oczy, jej zmięszanie się, gdyśmy się spotykali, niby mówiły mi: »Będę twoją!« Bardzo powoli wzmagał się Marko na siłach; przeszkadzał mu kaszel i sądziłem, że się nie ożeni.

Ale po św. Jerzym jeszcze raz przecierpiałem mękę piekielną; nieboszczyk proboszcz wygłosił zapowiedzi, a w miesiąc potem błąkałem się przez dwa dni po lesie: pobrali się...

Z czasem przywyczaiłem się do swej męki. Zapominałem o niej przy pracy. Rąbałem drwa razem ze swymi robotnikami. Pracowałem za dwóch. I teraz nie ustąpiłbym żadnemu chłopu, ale gdybyście mię wówczas widzieli! Rumiane lica, szerokie piersi, ręce niby młoty kowalskie, nogi — zająca by zawstydziły.

Owego roku właśnie ukończyłem lat dziewiętnaście. Tak mi zbrzydły chata i sioło, że chociaż nie brano wówczas jedynaków do wojska, zamyśliłem dobrowolnie zostać żołnierzem. I byłbym dokonał tego zamiaru, ale szczęściem pewnego dnia przyszli do naszej wioski żołnierze, co posłużyło dla mnie za dobrą nauczkę.

Pędzono ich po górach i przez pola, a potem zebrano przed kościołem na mustrze. Jakiegoś chudzinę uderzono w twarz tak, że mię aż litość wzięła; a on biedak milczy, choć mu ledwo łzy z oczu nie wytrysną. Zakomenderowano: »Brać na cel!« — a ten - biedak, mając słabe ręce, opuszcza strzelbę coraz niżej ku ziemi.

— Sznajder! Strzelbę prosto! — przyskoczył kapral i grzmotnął go karabinem po ramieniu aż zadzwoniło...

Nie mogłem znieść tego, krzyknąłem z tłumu:

— Nie bij człowieka, łotrze! gdyby mógł, toby podniósł.

Rozwściekliło to ich, więc poczęli męczyć ludzi jeszcze gorzej.

U wszystkich szło dobrze, tylko Sznajder nie mógł podołać. Wszyscy na prawo, on na lewo — wszyscy na swem miejscu, a on nie wie, gdzie ma stanąć. A porucznik natychmiast już przy nim i wali pięścią w kark.

— Panie, przebacz! Jabym chciał, ale nie umiem.

— O bydlę, taki owaki! czyż to ja winien jestem, że cię św. Sava młotem po głowie uderzył?!

— Czyż ma on prawo tak postępować z ludźmi? — pytam Ilję Bielca, który ośm lat przesłużył w wojsku.

— Zdarza się i gorzej, Bazyli, to fraszka.

— Niech więc poskarży się starszemu!

— Dałby starszy temu, co się skarży; panowie nie pójdą jeden przeciw drugiemu.

— A jeślibyś w gniewie oddał uderzenie?

— Rozstrzelanoby cię.

— Gdzież więc szukać sprawiedliwości?

— Nigdzie. Słuchaj i milcz, prawda, czy krzywda.

— Nie dla mnie, widać, ten chleb.

— A któż się do niego zmusza?

— Nikt; sam chciałem...

— Słodsze, synku, pierogi ojcowskie. Widziałem, że prawdę mówił.

— Ojcze, — rzekłem przy wieczerzy, — namyśliłem się: nie chcę już do wojska.

— Dzięki ci, Bogarodzico! — westchnęła moja matka.

— Dzięki Bogu! — rzekł ojciec. — Zakręciło ci się w głowie, ale teraz widzę, żeś chłopak do rzeczy.

— O, takiego drugiego już matka nie urodzi... Może przynieść jeszcze puhar wina?

— No, przynieś, stara, — mówi ojciec, uśmiechając się. Stary wniósł moje i matki zdrowie, pociągnął głęboko i podał mi puhar. Pociągnąłem i ja, napełniliśmy puhar po raz drugi i trzeci, a starzy coś szepcą.

— Bazyli, — rzecze ojciec, — jeśli nic nie masz przeciw temu, możeby zaprosić starego Zunicza. Jutro niedziela, niema nic do roboty, a chciałbym wypić jeszcze wina.

— Dlaczegożby nie — wzruszyłem ramionami.

Ojciec mrugnął, matka narzuciła chustkę na głowę i wyszła.

Po chwili przywiodła Żunicza, jego Stanę i córkę Marę. Siedzieliśmy do późna, dobrześmy podpili, a ja odprowadziłem ich do domu. Zapewne starzy ułożyli tak, abym był sam na sam z Marą i puścili nas daleko naprzód, a dalibóg, nigdyby nie była moją, gdyby nie ten wieczór! Rozegrzało mię nieco wino, krew burzyła się. Wmawiałem sobie, że i Mara też dziewczyna, że i ona ma serce kobiece... Lucę odebrano. Markowi była przeznaczona ona, a mnie — Mara. Mara była też dziewczyna urodziwa; im więcej na nią patrzałem, tem więcej oswajałem się z myślą: czemu nie miałbym jej wziąć?...

— Czy prędko, Maro, — ująłem ją wpół — staniemy przed ołtarzem? Chciałbym już dzisiaj pójść...

Mara śmiała się — zwyczajnie jak kobieta. I od tego czasu nie było wieczoru, abyśmy się nie spotkali w sadzie śliwkowym. Później pobraliśmy się; jakże mogłem ją porzucić?

Bazyli westchnął i po długim przestanku dokończył z jakąś goryczą:

— Cóż robić, dzięki Bogu i za to!

— Masz żonę, mój Bazyli, Bóg was połączył, grzeszyłbyś, gdybyś nie był jej dobrym towarzyszem, — rzecze pleban.

— Prawda, święta prawda, panie! Ale słuchajcie! Wszystkiego dał mi Pan Bóg. Nie wiem, co to głód i nędza, od kiedy żyję. Ale i dzisiaj jeszcze, gdy sobie rozmyślam, przypominam Lucę i młode moje lata. Jestem mężczyzną, wstyd płakać po tem, o co wzdychają gołowąse chłopaki, ale cóż mam robić! Wszystkiego mam, ale nie mam tego, coby mię najwięcej cieszyło. Dziecka, dziecka nie mam; a Luca miała syna...

Kilka łez spłynęło Bazylemu po twarzy. Pleban milczał, nie mogąc zataić w duszy głosu sprawiedliwości. Bazyli jest nieszczęśliwy... Nieszczęśliwie kochał, dobre serce uratowało od zbrodni, ożenił się, ale i tu Bóg mu nie pobłogosławił — miał żonę bezdzietną... Był bogaty, ale bez błogosławieństwa Bożego.

Pleban myślał, że najlepiej uspokoi Bazylego, jeśli wróci znowu do rozpoczętej opowieści, więc zapytał go:

— Czy długo żył jeszcze Marko?

— Trzy lata i kilka miesięcy.

— I dobrze żyli?

— Jak dwa gołębie. Ale rujnowała ich choroba. Już w pierwszym roku po ślubie znów zachorował i wyszedł z niej jeszcze słabszym. Był do niczego, a wiecie zapewne, jak to jest w takim domu, gdzie trzeba najmować obce ręce robocze. Leczyły go baby z trzech wiosek, wożono go do lekarzy, kupowano lekarstwa — wszystko daremnie. Umarł, zostawiwszy w obciążonej długami chacie Lucę i synka. Potem powrócił z wojska brat Lucy, zażądał swego działu, więc wszystko sprzedano. Na domiar złego choroba Marka przeszła i na Lucę. Poczęła kaszlać, więdnąć, nie mogła pracować, i oto dzisiaj rzuciłem na jej trumnę grudkę ziemi. I płakałem... jakżem nie miał płakać?

Umilkli obaj, Bazyli wkrótce jednak ciągnął dalej:

— Jeszczem nie skończył wszystkiego. Mam wprawdzie wszystko, mam dom, ziemię, gospodarstwo i gotówkę, ale nie mam syna. Przyzwyczaiłem się do gospodarki, nie mógłbym żyć bez pracy. A dla kogo trudzę się? Komu zostawię i ojcowską i własną swą pracę? Sam jeden jestem, razem ze mną pójdzie i imię moje do grobu, a dalecy krewni przeklinać będą kości moje i pobiją się o spadek po mnie. Dawałem na msze i czyniliśmy śluby razem z Marą, ale wszystko napróżno. Postanowiłem uczynić inaczej. Pomyślałem, że będzie to sprawiedliwem i Bogu się

spodoba. Słuchajcie, ojcze: przyszło mi na myśl nadać me imię krwi Lucy, chcę przyjąć za syna jej sierotkę — powiedźcie więc, czy dobrze czynię!

Pleban skoczył ku Bazylemu i uścisnął go za rękę:

— Bazyli, poczciwy z ciebie człowiek! Uszczęśliwisz sierotkę, a zarazem i siebie, Bazyli, to twój anioł stróż podszepnął ci myśl taką!

. . . .

Późno w nocy wracał pleban do domu, powtarzając głośno po drodze.

— Dobry, poczciwy człeczyna z tego Bazylego!...



Z bieżącej literatury.

(»Kres«, powieść współczesna A. Krechowieckiego. — »Sam na sam«, nowele i szkice Zygmunta Niedźwieckiego. — »Perepietyha, kniahini na Ukrainie«, napisał Szczęsny Morawski. — »Wybór nowel i opowiadań«, Bibljoteka dla młodzieży t. 12, wydał Henryk Kopia).

Adam Krechowiecki, oddawna znany we Lwowie jako redaktor urzędowej *Gazety Lwowskiej* i recenzent teatralny, jako powieściopisarz ma bardzo niedawną przeszłość za sobą, zaledwo jeden dziesiątek lat liczącą. Przez długi czas zapewne sam Krechowiecki nie spodziewał się, że wstąpi na pole literatury pięknej. Powieściopisarzem stworzyło go dopiero wystąpienie Sienkiewicza, dopiero przy blaskach jego sławy Krechowiecki odkrył w sobie talent. Począł więc śladem Sienkiewicza, pisać historyczne powieści i wydał »Starostę Zygwulskiego«, »Veto« i »Szarego Wilka«. Równocześnie niemal powstało kilka nowel ujętych we wspólny tytuł »Zmarnowani«, a potem przyszła kolej na powieści społeczne, jak »Jestem« i »Kres«, ostatnia w tym szeregu.

»Kres« jest próbą oparcia powieści współczesnej na stosunkach lwowskich, ale z życiem lwowskiem łączy go tylko to, że autorowi motywu dostarczyły dwa głośne zdarzenia z bruku naszego miasta: dawniejsze bankructwo pewnego zakładu zastawniczego i dość jeszcze świeżej pamięci proces pojedynkowy. Treść zawarta w kilku słowach tak się przedstawia: Stefan Leszczyc, zamożny obywatel galicyjski, mający ukochaną, ale niekochającą go żonę, Janinę, zaangażowany jest finansowo w pewnym banczku zastawniczym. Przedsiębiorstwo to bankrutuje, przygniatając swą ruiną wielu biednych ludzi, a Leszczyc dla ratowania honoru swego i ojca żony, poświęca znaczną część majątku na wynagrodzenie ich strat i to pierwsza część akcji. W drugiej niejaki Przemski, dystyngowany awanturnik spekulant, w nadzieji pozyskania miljonów, jakie ma otrzymać w spadku po lordach Greparach Janina, która się rozstała właśnie z mężem, uwodzi ją, ale w tem na drodze jego zjawia się Leszczyc. Wynika pojedynek, w którym Leszczyc ginie. Janina pod wpływem wyrzutów sumienia wpada w melancholję, a otrząsnąwszy się z niej idzie do klasztoru.

Intryga więc jest wcale zajmującą — zaprawna przytem ostrym smakiem t. zw. »dramatów życiowych«, których tyle notują dzienniki. Lecz nietylko to zawdzięcza »Kres« dziennikarstwu, bo co w nim jest najlepszego, to stworzył dziennikarski a obyty z teatrem temperament autora. A więc zaletą »Kresu« jest równe, potoczyste opowiadanie i pewna werwa, od której jakby bije ciepło teatralnych kinkietów. Więcej jeszcze, Janina, główna osoba powieści, bardziej niż głośną bohaterkę owego pojedynkowego procesu, przypomina Magdę w Sudermanna »Gnieździe rodzinnem«, a nawet czuć, że sposób zachowania się jej i temperament wzorował autor na grze wybitnych aktorek. Obok tych zalet jednak stają wady, jak: nadzwyczaj mała plastyka przy zupełnym niemal braku strony obrazowej powieści i pogłębienia psychologicznego. Autor widocznie sam spostrzegł ten niedostatek i stara się mu zapobiedz, ale kończy na tuzinkowem moralizowaniu. Podobnież nie powiodło mu się z umotywowaniem tytułu powieści. Niewiadomo czy »kres« ma oznaczać koniec wszelkich pragnień ludzkich, czy cel ich, bo autor sam sobie jasno nie zdając z tego sprawy, pozostawia czytelnika w niepewności. Dok. n.



WOJNA.

Ostatni bęben przebrzmiał, powietrze drży jeszcze
Od trąb i kul poświstu; szare dymu słupy
Suną po bojowisku, kędy leżą trupy,
Lub ranni, wydający westchnienia złowieszcze.
Jęki, zgrzyty, przekleństwa, płacz, rozpaczy krzyki;
Ten wyciąga do Boga ramiona i pada
Opodal żegna życie młodzieńców gromada,
Ów ciska na list świętej pocałunek dziki.
To wojna, ślepa furja, tytaniczna córa
Dwóch żądz, sławy i zysku, jakgdyby śmierć wtóra,
Szła tędy na armatach z laurami w rękach...
Banda panów ma złoto, cesarze laury,
Dowódcy orderami upstrzone mundury,
Tysiące legną w trumnach, trzykroć tyle w jękach.

J. Goldberg.

Rozbiory i sprawozdania.

Dneszni položeni Polákuv. Napsal Polak. (Dzisiejsze położenie Polaków. Skreślił Polak.) — Odbitka z »Rozhledów. Chrudim 1895.

Z młodego obozu postępowców czeskich niejednokrotnie już odzywały się głosy, świadczące o żywem zajmowaniu się naszemi sprawami i — co ważniejsza — sprawiedliwem, ludzkiem ich ocenianiu. Literackie organa tego stronnictwa, jak »Rozhledy«, »Vesna«, »Niva«, »Ruch«, »Lid«, starają się prostować spaczone przez pp. Vaszatych pojęcia swych czytelników o »braterskiej« gospodarce Rosji w Polsce, a dając świadectwo prawdzie, zasługują się dobrze własnemu narodowi, z drugiej zaś strony zaskarbiają sobie wdzięczność cierpiącej Polski. Gorącą też wdzięczność budzi w każdem sercu polskiem wydanie przez młodych działaczy czeskich wyżej wymienionej broszury, na której treść złożyły się artykuły, drukowane w poważnym i wielką poczytnością cieszącym się miesięczniku chrudimskim.

Wartość niewielkiej tej książeczki znajduje się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do jej objętości. Z gruntowną znajomością rzeczy opowiada w niej autor o warunkach polityczno-społecznych, w jakich się znajdują Polacy pod każdym z trzech zaborów, wiodąc czytelnika przez wszystkie — od jaśniejszych do najbardziej ponurych — kręgi piekła, któremu na imię: niewola!

Po Galicji więc i Szlązku austrjackim następuje Wielkie Księstwo Poznańskie, Prusy Zachodnie, Górny Szląsk, szkic zaś kończy treściwe i umiejętne omówienie bezprawi i gwałtów, dziejących się w Królestwie Polskiem i na męczeńskiej Litwie.

Przez cały czas posępnej wędrówki autor-przewodnik umie panować z dziwnym taktem nad porywami własnych uczuć, któreby mogły znaleźć lub nie — stosownie do okoliczności — sympatyczny oddźwięk w sercach czytelników nie-Polaków, i ogranicza się jedynie na zestawianiu faktów w wymowne obrazy. I chociaż ponure ich tło rozjaśniają smugi świetlane, wypływające z danych, które świadczą o niezłomnej sile żywotnej naszego narodu, obrazy te wywierają wrażenie nawet na tych, co znają każdy ich szczegół, jak własny ból i krzywdę własną, tem silniej więc przemówić powinny do braci Czechów, którym odkrywają nieznane światy.

Niech-że mówią i niech potężnym, czystym dźwiękiem prawdy zgłuszą niesforne kłamstwa, które dzielą dziś tych, co wspólnie do wspólnego dążyć powinni celu.

M. W.

Przegląd pism.

»Ateneum«. — Maj 1895.

W urozmaiconym zeszycie majowym »Ateneum« wyróżnić trzeba artykuł p. Chmielowskiego o »Rodzinie Połanieckich« Sienkiewicza. Jeżeli wszystko, co wychodzi z pod pióra znakomitego krytyka, zasługuje na baczną uwagę, to tem większy interes budzić musi jego ocena, gdy dotyczy pracy Sienkiewicza. Już sam tytuł artykułu p. Chmielowskiego, a mianowicie: »Ironja życia w ostatniej powieści H. Sienkiewicza« wskazuje, że krytyk nie idzie w swej ocenie wzorem tych, co w dziele Sienkiewicza dopatrzeć chcieli jakby antytezy »Bez dogmatu«, tendencji, idealizującej życie rodzinne i t. d.

Sienkiewicz odmalował nam życie pewnych, już szerokich obecnie sfer naszego społeczeństwa, tych sfer, gdzie się »robiąca perkaliki« i »prowadząca spekulacje zbożowe« burżuazja (ziemiańskiego pochodzenia) styka z upadającą średnią własnością ziemską i tąż własnością w stanie jeszcze zdrowym. Wszystko to u Sienkiewicza rdzennie polskie; żyda, którego tak często w charakterze rozkładowego czynnika wprowadza np. Prus, u Sienkiewicza ani na lekarstwo nie znajdzie, — ale jakież to wszystko wstrętne! Ludzie o sercach szlachetnych, ideałach wielkich — prawie wyłącznie maniacy (Bukacki, Waskowski), inni »robiący perkaliki« — bez krzty obywatelskich aspiracji. Kobiety, te przynajmniej, które autor nie szkicowo tylko nakreślił, a całkowicie wykończył, to istoty bez serca, zepsute i przewrotne. Jedyna Marynia, natura prawa i szlachetna, ale i jej myśl poza rodzinę nie wybiega. A taka unosi się w powietrzu dokoła tej »zacnej« Maryni deprawacja, że p. Chmielowski — słusznie niestety! — stawia smutne pytanie: »czy Marynia pozostanie i nadal przez całe życie taką dobrą, taką zacną, taką serdeczną, taką prawą, jak ją widzimy w pierwszym roku małżeństwa?«. Sienkiewicz odmalował nam ten »szmat życia« naszej t. zw. inteligencji, tak, jak je widział. Nie można go winić za to, że przeważają w tym obrazie barwy ciemne. Gorzką jest jednak ta ironja życia!

Z innych artykułów, umieszczonych w tymże zeszycie, bardzo jest ciekawy początek »Rzeczyposp. Babińskiej« K. Bartoszewicza. Artykuł ten napisany został z okazji wydania przez St. Windakiewicza »Aktów rzeczypospolitej babińskiej, według oryginalnego rękopisu«.

Ciekawem jest również obszerne streszczenie pracy Wernicke'go z dziedziny psychofizjologji.

Wiele interesujących danych zawierają dwa niewielkie artykuliki informacyjne: »Rozwój bibljotek ludowych« i »Gazeta pracy« (The Labour gazette), miesięcznik departamentu pracy angielskiego ministerstwa handlu.

p.

PRO MEMORIA.

12. czerwca 1863. Zginęli, powieszeni przez Moskali na stokach cytadeli warszawskiej, Czechowski, Kononowicz i ks. Agrypina Konarski, ten ostatni za to, że pełnił obowiązki kapelana w obozie Langiewicza. Ks. Kononowicza powieszono, wbrew ustawie kościoła, bez zdjęcia sakry, tylko oficer rosyjski, Rożnow, splunął mu w twarz, twierdząc, że śliną swoją zmazał święcenie kapłańskie.

14. czerwca 1807. W bitwie pod Friedlandem, stoczonej przez Napoleona, Polacy pod Dąbrowskim odznaczyli się męstwem.

15. czerwca 1794. Prusacy po bitwie pod Szczekocinami zajęli Kraków, a ustępując go Austrjakom 4. stycznia 1796 zabrali ze sobą — podług ogólnego twierdzenia — kufer z koronami polskiemi.

15. czerwca 1863. Arcybiskup Feliński wygnany został w głąb Rosji na 20 lat za protest co do powieszenia ks. Konarskiego bez zdjęcia mu sakry.

17. czerwca 1793. Zwołany został sejm do Grodna dla potwierdzenia drugiego rozbioru Polski.

17. czerwca 1863. Zginął na szubienicy w Wilnie Zygmunt Sierakowski, sławny wódz powstańców na Litwie, ktory pobił Moskali pod Ginetynami i Korsakiszkami.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.